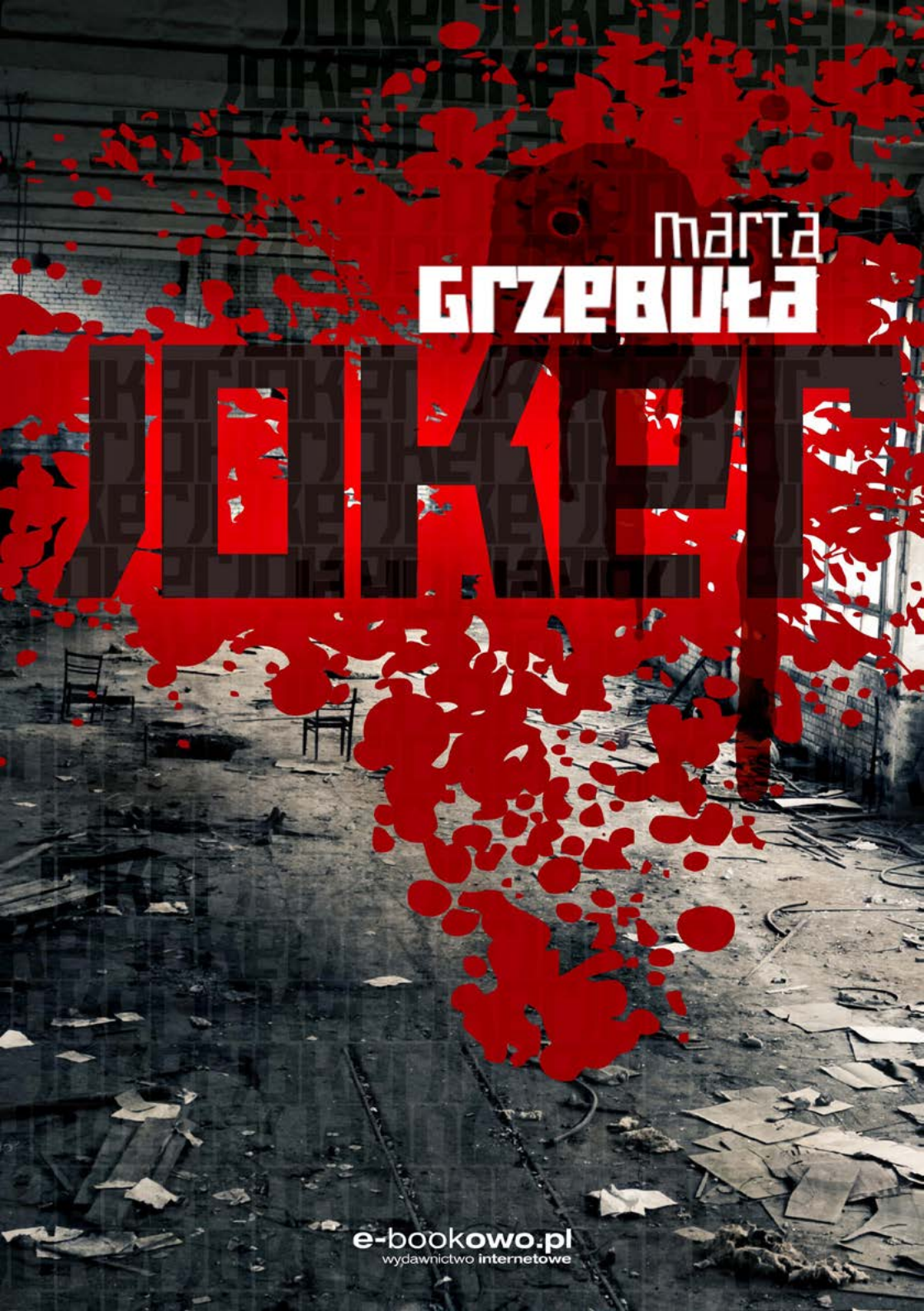




marta
GRZEBUŁA

Marta Grzebuła

J O K E R

© Copyright by
Marta Grzebuła & e-bookowo
Grafika na okładce: istockphoto
Projekt okładki:
e-bookowo

ISBN e-book 978-83-7859-414-7
ISBN druk 978-83-7859-415-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2014

Powieść jest mojego autorstwa i nie może być wykorzystana bez mojej zgody. Dz. U. 1994 nr 24 poz. 83.

Marta Grzebuła Jarzębina.

*Pamięci Mojej Mamy, Basi Łukomskiej.
A mojemu mężowi, Henrykowi oraz synom,
dziękuję za ich miłość i wsparcie.*

Wstęp

Akcja powieści toczy się w mieście, którego w rzeczywistości nie ma. Istnieje za to naprawdę piękny stan Nevada. Nie istnieją też ludzie – bohaterowie książki. To moja wyobraźnia ich stworzyła, dała imiona, nazwiska, wygląd i historię.

A jeśli się mylę? Jeśli istnieją? To jakiegokolwiek podobieństwo do kogokolwiek jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

A teraz drogi Czytelniku...

Jesteś spragniony wrażeń? Pragniesz silnych emocji? To zapraszam Cię do czytania. W tej powieści poznasz losy czterech mężczyzn, trzech braci i policjanta oraz kobiety. Inni, choć równie ważni są tylko postaciami pomocniczymi do tego, aby i Tobie podszeptać, kto jest seryjnym mordercą. Książka uwikła Cię także w ciekawą intrygę. Poruszam w tej powieści dwa aspekty: czy pod „płaszczem” obrony własnej, można ukryć chęć zemsty? Czy można znaleźć usprawiedliwienie dla tego czynu? I czy źle rozumiane oddanie, lojalność, zaślepienie w imię miłości braterskiej może być usprawiedliwieniem dla knoń, spisku, mającego na celu zafałszowanie zbrodni?

Znajdziesz w tej powieści odpowiedzi na te pytania.

Będziesz podążać za porucznikiem Erykiem Bernardem, który zawilými drogami kłamstw, intryg i zdrad będzie usiłował dojść do prawdy, do sprawcy lub sprawców. Przeczy-

tasz, jak będzie musiał pokonywać kolejne labirynty dróg, by dotrzeć do sedna, także tych dróg, w które wciągnie go... No właśnie. Kto? Może piękna kobieta o twarzy bogini, o słodko brzmiącym imieniu? A może wieloletni przyjaciel? A może ktoś, komu i tak nie ufał?

Zacznij czytać i podążaj w ślad za tropem, ramię, w ramię za doświadczonym, ambitnym porucznikiem Erykiem Bernardem. Gra się zaczyna.

*„Myśli, to nie rafy koralowe, nie trzeba ich omijać...
Na częstotliwości chaosu, jest tylko jedna droga...
Donikąd”.*

Marta Grzebuła – Jarzębina

PROLOG

Miasteczko tętniło życiem. Było usytuowane przy jednej z głównych dróg wiodących do autostrady międzystanowej 80. W związku z tym faktem miało swoje gorsze i lepsze dni. Co roku organizowany był festyn z okazji kolejnej rocznicy jego powstania. To był ten lepszy czas.

Miasteczko to, na cześć pięknej stolicy Polski, nosiło nazwę Little Metropolis – Mała Stolica. Właśnie zbliżała się piękna, okrągła setna rocznica. Założono go pewnego lipcowego dnia. Uczynili to emigranci z Polski, którzy porwani wizją bogactwa, krainy „mlekiem i miodem płynącej”, pokonali ocean i własny strach przed nowym nieznanym lądem. Podejmując się ogromnego wysiłku, w nadziei na lepsze życie, trafili tu na piękne ziemie. A na nich, niczym morze, rozciągają się piaski i żyzne gleby. Jednocześnie z ziemi tej wyrastają ku niebu góry Sierra Nevada i Góry Skaliste wtopione w połacie lasów parku narodowego Doliny Śmierci – „Death Valley” i Parku Narodowego Wielkiej Kotliny. I ta najpiękniejsza z rzek – Kolorado. Rzeka, która dla pierwszych emigrantów była niczym polska Wisła. Płynie ona przez znaczną część stanu Nevada i kończy swój bieg właśnie tu, tworząc olbrzymie rozlewisko, jezioro Tahoe. To ono, za sprawą magii Matki Natury, ma połączenie z innym niewyobrażalnie wielkim jeziorem – Pyramid. Pierwsi mieszkańcy, tęskniący za ojczyzną, nazwali je „Polska”. Z czasem wiele z tych nazw uległo modyfikacji, lub też zwyczajnie, prawidłowe nazwy zostały przez emigrantów, potem ich dzieci, zaakceptowane. Ale również i ludzie zmieniali się i nie stanowili już rdzennie czystej populacji. Żyli tu zgodnie ludzie wielu

narodowości. Najprawdopodobniej trzeba by było wyliczyć większość państw europejskich i azjatyckich, żeby oddać całą prawdę o zamieszkującej tu ludności. Miasteczko jednak wciąż nosiło nazwę Little Metropolis, a jezioro z czasem otrzymało zbliżoną nazwę do poprzedniej – „Polonia”, choć znów była ona niezgodna z tą, która funkcjonowała w świadomości tak wielu. Ale jak mawiają: „serce nie sługa”, ono nie tylko kocha, ale i tęskni. I nikt nigdy by się nie spodziewał, że w tym urokliwym, spokojnym miasteczku dojdzie do takich sytuacji. Do morderstw.

Droga była przepełniona samochodami, które wlewały się kaskadą w pełnym pędzie w kolejne ulice i, w niekiedy ciasne, zaułki miasta. Jedno z aut wjechało właśnie w małą uliczkę, przy której wyrastał jak z podziemi olbrzymi budynek. Właściwie była to rudera. Wałące się częściowo ściany otaczała siatka. Obok stały brudne, szare kontenery. Auto zatrzymało się między nimi. Po chwili ze środka wyszedł lekko zgarbiony mężczyzna. Niepewny, nieco wystraszony, rozglądał się przez ułamek sekundy, po czym idąc chwiejnym krokiem podszedł do tylnej maski samochodu i usiłował ją otworzyć. Kłapa bagażnika drgnęła, ale się nie otworzyła. Mężczyzna uderzył z całej siły pięścią, a ta nagle pod ciosem, odskoczyła. Człowiek ten pochylił się nad zawartością, jaka spoczywała we wnętrzu dość brudnego samochodu z nieczytelnym numerem rejestracyjnym. Jeszcze raz zerknął na boki. Gdy poczuł się bezpieczny, nieobserwowany szarpnął z całych sił owym pakunkiem spoczywającym w jego bagażniku, ale ten nawet nie drgnął. Raz jeszcze wyteżył wszystkie siły, a spod krótkich rękawów granatowej koszulki ukazały się mięśnie rąk. Były niczym splot masywnego grubego warkocza. Raz jeszcze szarpnął workiem, a ten w końcu ustąpił. Mężczyzna zrzucił go na ziemię. Ponownie rozejrzał się zaniepokojony

dobiegającym hałasem zza jednego z kontenerów i odetchnął z ulgą. To zagubiony kocur usiłował znaleźć pożywienie we wnętrzu sąsiedniego pojemnika. Odruchowo tupnął nogą, kot w ułamku sekundy uciekł chowając się w bezpiecznym miejscu. Wcisnął się w szczelinę muru budynku. Ale tego mężczyzna już nie widział. Zajęty pakunkiem, ciągnął go po usianej gruzem drodze. Dotarł do, jak mu się wydawało odludnego miejsca, wrzucił granatowy wór do dołu tuż pod wałącą się ścianą dawnego biurowca. Otrzeptał z kurzu odzież. Pył, jaki się wzbił, sięgnął przez moment jego twarzy. Otulił go jak mgła, która miała także ukryć worek i stać się dla niego grobowcem. Kiedy mężczyzna nieco ochłonął, oczyścił ubranie i zaczął rozglądać się wokół w poszukiwaniu wszystkiego tego, co mogło być dobrym przykryciem dla jego prezentu dla Matki Ziemi. Znalazł to, czego szukał; deski, kawałki cegieł, zaczął je wrzucać, kolejno tak, że w końcu utworzyły małe wzniesienie, dopiero wtedy odetchnął z prawdziwą ulgą, raz jeszcze wytrzeptał odzież, popatrzył w niebo i szepnął:

– Załatwione.

Noc wkradała się niczym złodziej we wszystkie zakamarki ulic, budynków i opadała czarnym wdowim welonem na miasto. Mężczyzna uruchomił silnik, ten warknął, jak pies i szarpnął. Był to stary samochód, kupiony gdzieś za marne pieniądze i miał służyć tylko jednemu celowi. Właśnie spełnił swoje zadanie. Mężczyzna skierował się do auta. Włożył kluczyk do stacyjki, ruszył, a za samochodem wzbił się tuman kurzu. Po chwili samochód zniknął za zakrętem. Wjechał na drogę wylotową za miastem, a po niespełna pół godzinie dotarł do celu. Było to odludne miejsce, w którym postanowił pozbyć się auta. Zanim wysiadł, wrzucił bieg na luz. Wciąż czujny, wciąż niepewny. Pchnął z całych sił, pojazd stoczył się na samo dno urwiska. Mężczyzna prze-

siadł się do Porsche, które ukrył dużo wcześniej w gęstwinie krzewów. W tej chwili rozległ się potężny huk, niebo rozświeciły płomienie, a po sekundzie pojedyncze iskry zaczęły opadać niedaleko srebrnego samochodu. A on tylko nacisnął pedał gazu, posypały się drobiny kamieni, koła zabuksowały i wzbiły w powietrze tumany pyłu. Oddalał się z taką szybkością, że nawet jego westchnienie trwało dłużej niż ucieczka z tego miejsca. Auto mknęło w kierunku autostrady, a tam wchłonęły go inne pojazdy, skrywając przed ewentualnym pościgiem. Tylko, kto miałby go ścigać? Nikt przecież nie wiedział o tym, czego się dopuścił i nikt go nie skojarzy z porzuconym w wąwozie autem. Zdjął tablice rejestracyjne, a wszelkie numery zatarł. Był przekonany, że nikt go o nic nie będzie obwiniął.

A zresztą, kto mógłby go podejrzewać? On musiał być poza wszelkimi podejrzeniami. Sądził, że jest wręcz nietykalny.

ROZDZIAŁ I

Kamila

– Przepraszam bardzo? Czy zastałem porucznika Bernarda? – spytał młody mężczyzna. Był szczupłym brunetem, którego spojrzenie zdradzało niepokój, a wręcz lęk.

– A o co chodzi? – Tęgi policjant siedzący za dużym, choć znacznie mniejszym od niego drewnianym białym biurkiem, ledwo spojrzał na chłopaka. Słowa oficera odbiły się echem po blacie usłanym teczkami akt. Nie uniósł głowy, wciąż przeglądał notatki.

– Zaginęła moja dziewczyna. Właściwie narzeczona. Zgłosiłem to na posterunku w mojej dzielnicy. Mieszkamy na 103, Corner Street, tuż za wielkim piętrowym parkingiem – powiedział.

– Wiem, gdzie to jest – odparł opryskliwie oficer, a po chwili, jakiej potrzebował na to, by wziąć łyk kawy zadał kolejne pytanie:

– I w związku z tym faktem, w czym porucznik ma panu pomóc? A zgłoszenie, kiedy wpłynęło?

– Dwa dni temu... – Młodzieniec nadal pozostawał grzeczny, mimo, iż zabolalo go to, jakim tonem zwrócił się policjant. Ten nie pokusił się, aby na niego spojrzeć. Wpatrzony w rozrzucone na biurku papiery jedynie kawie poświęcił więcej uwagi. Martin niezrażony odparł:

– Moja dziewczyna pracowała, jako młodszy konsultant

i tłumacz w naszej dzielnicy, w urzędzie pracy. Jesteśmy Polakami.

– A! Polacy. No to już rozumiem, dlaczego szuka pan Eryka. Nie ma go. Jest u szefa i nie wiem, kiedy wróci. Proszę zostawić swój telefon, nazwisko, a ja postaram się przekazać informację. Jeśli pan ma jakieś papiery zgłoszenia, cokolwiek, proszę zostawić, podpiąć pod kartkę z telefonem.

Młody człowiek nie mógł zrozumieć tej nagłej zmiany. Detektyw, do którego go skierowano stał się grzeczny, uśmiechał się, a nawet patrzył na niego aż do ostatniego słowa i to prosto w oczy.

– Dobrze, oczywiście i bardzo panu dziękuję.

– Nie ma za co. My tu wszyscy na posterunku mamy pochodzenie, choćby po pradziadkach, polskie. Ja na przykład nazywam się Karłowicz, Adam Karłowicz – poprawił wypowiedź tęgi mężczyzna, wciąż nie ukrywając swojego zadowolenia. Nagle uczynił coś bardzo sympatycznego i przyjaznego. Wstał, podał dłoń młodemu człowiekowi i ściskając rękę, z uśmiechem na twarzy stwierdził:

– Nie martw się, chłopie, znajdziemy twoją dziewczynę. Słowa te dodały młodzieńcowi otuchy.

– Dziękuję raz jeszcze. Będę czekać z niecierpliwością. Ja i bracia... – urwał

Sięgnął po kartkę podaną przez Karłowicza. Zapisał numer telefonu ze swoim imieniem oraz nazwiskiem. Po chwili dopisał dane Kamili. Ukłonił się na pożegnanie jednocześnie mówiąc:

– Do widzenia. Będę bardzo wdzięczny.

I również uśmiechnął się.

Opuścił gwarne, pełne szumu ludzkich głosów i wentylatora, pomieszczenie. Odetchnął z nieukrywaną ulgą. Wyszedł na ulicę.

Spis treści	
Wstęp	5
PROLOG	7
ROZDZIAŁ I	
<i>Kamila</i>	11
ROZDZIAŁ II	
<i>One</i>	32
ROZDZIAŁ III	
<i>W pułapce</i>	48
ROZDZIAŁ IV	
<i>Huragan</i>	69
ROZDZIAŁ V	
<i>Ocalenie</i>	87
ROZDZIAŁ VI	
<i>Anastazja</i>	104
ROZDZIAŁ VII	
<i>Mała Stolica kontra Las Vegas</i>	126
ROZDZIAŁ VIII	
<i>Pięćdziesiąt trzy</i>	145
ROZDZIAŁ IX	
<i>Ona - początek odwetu</i>	165
ROZDZIAŁ X	
<i>Ostatnie rozdzanie</i>	198
ROZDZIAŁ XI	
<i>Weryfikacja</i>	233
ROZDZIAŁ XII	
<i>Inwigilacja</i>	250
ROZDZIAŁ XIII	
<i>Prawda i kłamstwa</i>	274
ROZDZIAŁ XIV	
<i>Ostateczny strzał, a ostatnie słowo</i>	295
EPILOG	309